

GŁOS Z WIDOWNI

Teatr „Wybrzeże” wystawił w tych dniach na sopockiej scenie sztukę, zmarłego tragicznie przed piętnastu laty, pisarza węgierskiego Imre Sarkadiego „Szymon Słupnik”.

Z aprobatą należy przyjąć kontynuację ambitnych zamierzeń zbliżenia dramaturgii

naszych południowych sąsiadów, do widza wybrzeżowego, choć

z całą pewnością — można polemizować nad doбором utworów. Nie można jednak, moim zdaniem, kwestionować słuszności zaprezentowania tej rangi klasyka jak Imre Madach, z którym Teatr „Wybrzeże” zapoznał wybrzeżowego widza — kilka lat temu, albo tak kontrowersyjnego autora jak Imre Sarkadi. Z tym jednak, że jeżeli osobowość twórczą Madacha można łatwo określić na tle dzieł kultury węgierskiej i nie tylko węgierskiej, z Sarkadim rzecz wydać się może znacznie trudniejsza a nawet wcale jeszcze niewykonalna. Stanowi on bowiem

zjawisko literackie na tle bardzo określonych wydarzeń w najnowszych dziejach Węgier, zjawisko z całą pewnością konstruktywne dla dalszych poszukiwań twórczych współczesnej dramaturgii tego kraju — ale bardzo dyskusyjne w ocenie samych poszczególnych utworów.

Takim właśnie utworem jest „Szymon Słupnik” — dramat wystawiony po raz pierwszy na scenie węgierskiej, już po tragicznej śmierci pisarza w r. 1961. Akcja rozgrywa się w pracowni na poddaszu, zajmowanej przez nihilizującego artystę-alkoholika Janosza Kisz (Krzysztof Gordon). Sceneria powtarza wielokrotnie już demonstrowane przy różnych okazjach strych-ru pleciarnię, co autorka scenografii Jadwiga Pożakowska potraktowała bez poważniejszych poszukiwań oryginalności. A ponieważ część akcji

rozgrywa się na... podłodze i ze względu na właściwości widowni sopockiej jest niewidoczna dla widzów poza pierwszymi rzędami — pozostałe reżyserskie widzów kontemplacja wizualna akademicko potraktowanej kompozycji sceny.

Reżyser Krystyna Meissner od pierwszych chwil sztuki ujawnia całą bezradność, wszystkie swoje lęki i wszystkie niepewności — zarówno w odczytaniu sensu sztuki, jej struktury, jak i samych postaci. Jesteśmy świadkami jak dramat zmienia się w tragifarsę i to z sentymentalnym przesłaniem.

To prawda — sztuka jest trudna, wieloznaczna, złamana dramaturgią, a dodatkowo — mimo że akcja dzieje się współcześnie — przekład posługuje się w dialogu sformułowaniami typowymi dla okresu młodopolskiego (autorka przekładu Camilla Mondral). Dziwnym zgoła trafem na głównego bohatera sopockiego spektaklu plasuje się nie Janosz Kisz, ale tragicznie na postać przewrotną wicekons-

jerzka i prowokatorki Vincowej (zresztą znakomicie zagrana przez Annę Chodakowską). Również tragedia ślicznie jak z obrazka Zużi (Joanna Bogacka) zamienia się w melodramat z powieści odcinkowej ubiegłego stulecia i to w bukwarowej gązecie, a jej mąż (Andrzej Nowicki) uzyskuje już tylko do zagrania postać z fary. W tej sytuacji rozmazuje się nawet to, co można było wydobyć na plan pierwszy z dialogów między Kiszem i jego przyjacielem Hlobem (Jan Sieradzki), a nawet jeżeli inne postacie uzyskują dzięki indywidualności aktorów własną osobowość (Barbara Patarska, Ryszard Jańiewicz, Ryszard Moskaluk, Elżbieta Kochanowska, Kazimierz Iwor, Wojciech Kaczanowski, Tadeusz Rosiński) nie są to osobowości zgodne z

ogólnym rytmem utworu. Reżyser natomiast nie wie po prostu co z tym fantem zrobić — główna idea wymyka mu się bowiem z rąk.

W efekcie widz wychodzący z teatru może pomyśleć, że zaprezentowano mu jeszcze jedną sztukę o miłości i zbrodni, z przesłaniem moralnym w obronie oddanych uczuciu wo kobiet. A takie odczytanie było by bzdurą.

Nie stawiam wysoko samej sztuki Imre Sarkadiego. Jest ona ułomna na konstrukcyjnie i dość mętna w ogólnym przesłaniu myślowym, ale bez wątpienia są w niej cenne wartości psychologiczne i obyczajowe oraz zarejestrowany dramat określi-

tego etapu doświadczeń ideowych i społecznych narodu węgierskiego.

Rozumiem zdanie wielu węgierskich krytyków, że twórczość Sarkadiego stała się znacząca dla dramaturgii węgierskiej w jej zwrotnym momencie, ale rozumiem także ich sceptyczne spojrzenie na ideową wymowę „Szymona Słupnika”, utworu, którego bohaterem uczynił Sarkadi anarchizującego artystę, który nie mogąc rzucać bomb, niszczy wokół siebie najcenniejsze wartości — przyjaźń, koleżeństwo, miłość, aby na koniec w grupie i operetkowy sposób unicestwić siebie.

Przy dość swobodnej charakterystyce tej postaci można by nawet doszukać się jej związku z Raszkolnikowem. Niestety — w sopockim spektaklu umknęła większość intencji i zamysłów pisarza, a na wet temat „spisku prowokacyjnego” wicekonjerżki wypadł śmiesznie. Czy jest to efektem niezrozumienia utworu czy po prostu braku doświadczenia — co sprawiło, że wcale niełatwa materia dramaturgiczna i myślowa wysunęła się z rąk reżysera i rozbiła na kilka części, z których później jedna nie pasowała do drugiej?...

Stawomir Sierecki

„Szymon Słupnik“